NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie kor. 12·50. Półrocznie kor. 25·—. Rocznie kor. 50·—. Do Niemiec: Kwartalnie 13 kor. 25 hal. Półrocznie 26 kor. 50 hal. Rocznie 53 kor. — hal. z przesyłką pocztową. W Ameryce: Kwartalnie 13 kor. 80 hal. Półrocznie 27 kor. 60 hal. Rocznie 55 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Wyłączne zastępstwo na Warszawę i Królestwo Polskie: Zygmunt Bereda, Warszawa, Marszałkowska 119.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 1 koronę.

Rok XV. Kraków, 23 listopada 1918. Nr. 46.

Odsiecz dla Lwowa.



Oficerowie i żołnierze przygotowujący się do wyjazdu do Lwowa. (Fot Karaś).

Odsiecz dla Lwowa.

Wbrew wszelkim zasadom prawa międzynarodowego dokonali Rusini zamachu na polski Lwów. Jak się obecnie okazuje zbrojny napad zorganizowany był przy pomocy rządu austryackiego i niemieckiego. To, co prasa polska utrzymywała od początku na podstawie obserwacyi faktów i znajomości stosunków, zostało obecnie stwierdzone dokumentami, które krzyczą wprost o europejski rozgłos: podstępny zamach na Lwów, zamach na całą Galicyę wschodnią wykonany został przy organizacyjnej pomocy Niemców, na podstawie planu wypracowanego przez niemieckich oficerów. I współdziałanie to nie ograniczało się wcale do jakichś drugorzędnych miejscowych czynników militarnych, które, zmuszone do ustąpienia z polskiego miasta, zapragnęły jeszcze raz, po raz ostatni zademonstrować swą żywiołową nienawiść do Polski. W intrydze były czynne najwyższe sfery wojskowe Austryi i Niemiec: cesarsko-królewskie ministerstwo wojny w Wiedniu, osławione Armee Ober Komando w Badenie i niemieckie ministerstwo wojny w Berlinie.

Stwierdziły to dokumenty znalezione w czasie walk u jednego z księży ruskich pod Lwowem.

Stan miasta w obecnej chwili jest wprost straszny. Przez sam środek przebiega linia bojowa, a walki jakie się toczą są krwawe i nieubłagane.

Miasto wygląda strasznie; kamienice bez szyb z podziurawionymi murami. Ludność nie wychodzi na ulicę wcale, zwłaszcza w ulicach Kopernika, Ossolińskich, Sykstuskiej, Gródeckiej i Kazimierzowskiej. W tych ulicach można znaleźć w każdym domu zwłoki osób, które pomarły z głodu, ponieważ wyjście za prowiantem jest niemożliwe, gdyż w każdej bramie stoi po kilku żołnierzy ruskich, którzy strzelają do całkiem bezbronnej ludności cywilnej.



Odsiecz dla Lwowa: Pierwszy oddział, jaki z Krakowa wyruszył do Lwowa. (Fot Karaś)

Tramwaje ani dorożki nie kursują, ludność obca, która się chce wydostać z miasta do swoich stron, jest narażona na różne maltretacye ze strony Rusinów. W niedzielę wybrało się parę osób ulicą Zieloną w stronę rogatki i tą drogą chcieli się wydostać do Przemyśla. Wtem tuż koło rogatki spotkała ich straż ruska i z odległości 50 kroków wystrzelała wszystkich, poczem obrabowała zabitych. Drożyzna jest tu wielka, gdyż prowiantów nie mogą wieśniacy dowieźć żadnych. I tak po stronie ruskiej chleb kilowy kosztuje 60 koron, kilo ziemniaków 15 koron, litr mleka 7 koron. Po stronie polskiej wszystko o połowę taniej, gdyż dowóz do miasta jest dozwolony. Urzędy są wszystkie próżne; w biurach wszystkie akta częścią spalone, częścią powywracane do góry nogami po podłodze. Poczta spalona doszczętnie, dyrekcya policyi zburzona od granatów, gmach sejmowy uszkodzony od pocisku ruskiego. Ogromny huk armat i karabinów maszynowych nie ustaje ani na chwilę. Na ulicach miasta leży po stronie ruskiej bardzo dużo trupów, w tem kobiety i małe dzieci, które nie są zbierane. Lotnicy polscy, ostrzeliwani przez Rusinów, ukazują się co dnia nad miastem. Wieczory są straszne, ponieważ lampy wcale się nie świecą i tylko widać rakiety w śródmieściu puszczane przez Rusinów, oraz liczne pożary poza miastem, gdzie dzicz ukraińska pali i rabuje pobliskie wsie i dwory.

Społeczeństwo polskie organizuje siły zbrojne



Odsiecz dla Lwowa Grupa uczniów gimnazyalnych, którzy zostali uzbrojeni jako gwardya studencka (Fot Karaś



Rewolucya w Niemczech: Ogłoszenie republiki w Lipsku. (Lip. b. pras.)



Rewolucya w Niemczech: „Czerwony" admirał Hintze

do walki z ruskim grabieżcą. Z Krakowa wyruszyły już zbrojne oddziały na odsiecz.

Podajemy ilustracye przedstawiające organizacyę tych oddziałów w Krakowie.

Rewolucya w Niemczech.

Wielkie zmagania wojenne zakończyły się nie spodziewanie ogólną rewolucyą, która ogarnęła nie tylko wschód Europy, ale przeniosła się także na zachód i rozpaliła pożogę buntu także w Niemczech.



Do ojczyzny: Wagony kolejowe przepełnione powracającem wojskiem. (Fot. J Szwedo)

Rząd ks. Maksa badeńskiego pod naporem socyalistów zażądał abdykacyi cesarza Wilhelma, który zwlekał, aż pod przymusem groźby strajku generalnego w Berlinie i na wieść o buntach marynarzy w miastach portowych zrzekł się tronu wraz z swoim następcą. Tymczasem wypadki poszły dalej. W Berlinie wybuchła rewolucya, pozawiązywały się rady robotniczo-żołnierskie i utworzył się nowy rząd socyalistyczny, złożony z sześciu członków, tj.: Eberta, Landsberga, Scheidemanna, Barta, Dittmana i Haasego, który ogłosił Niemcy rzecząpospolitą. Rada żołnierska objęła kierownictwo wojskowe. Równocześnie po wszystkich większych miastach niemieckich potworzyły się rady robotniczo żołnierskie i ujęły władzę w swoje ręce. Bawarya, Wirtembergia, Saksonia ogłosiły się republikami, królowie abdykowali i wyjechali do Szwajcaryi. Cesarz Wilhelm, który przebywał w głównej kwaterze, uciekł z rodziną i z najbliższem otoczeniem do Holandyi. Przewrót objął całe Niemcy. Książęta niemieccy zrzekli się swej władzy na rzecz ludu

Jak dotąd niesłychany ten przewrót dokonał się bez większego rozlewu krwi, ale zdaje się Niemcy stoją przed groźnemi zamieszkami wewnętrznemi. Nie wiadomo jeszcze, w jakim porządku odbędzie się wycofanie wielomilionowej armii z frontu, która gotowa rozpaść się na niekarne oddziały i zalać cały kraj.

We wszystkich miastach niemieckich odbywa się obecnie obejmowanie władzy przez przedstawicieli ludu pracującego. Rady robotniczo żołnierskie zawieszają na budynkach publicznych czerwone sztandary. W Berlinie Karol Liebknecht wywiesił czerwoną chorągiew na zamku cesarskim. Jedynie wszechniemcy stawili opór zaprowadzeniu nowego porządku, ale trwał on bardzo krótko i zakończył się po kilku miejscowych walkach zupełnem zwycięstwem rewolucyi.

Przedstawiciele starego porządku w olbrzymiej swej większości poddali się nowemu rządowi i ofiarowali mu swe usługi. Jeden z pierwszych uczynił to admirał Hintze, który objął zarazem propagandę na rzecz nowego porządku, a za nim zgłosił swe



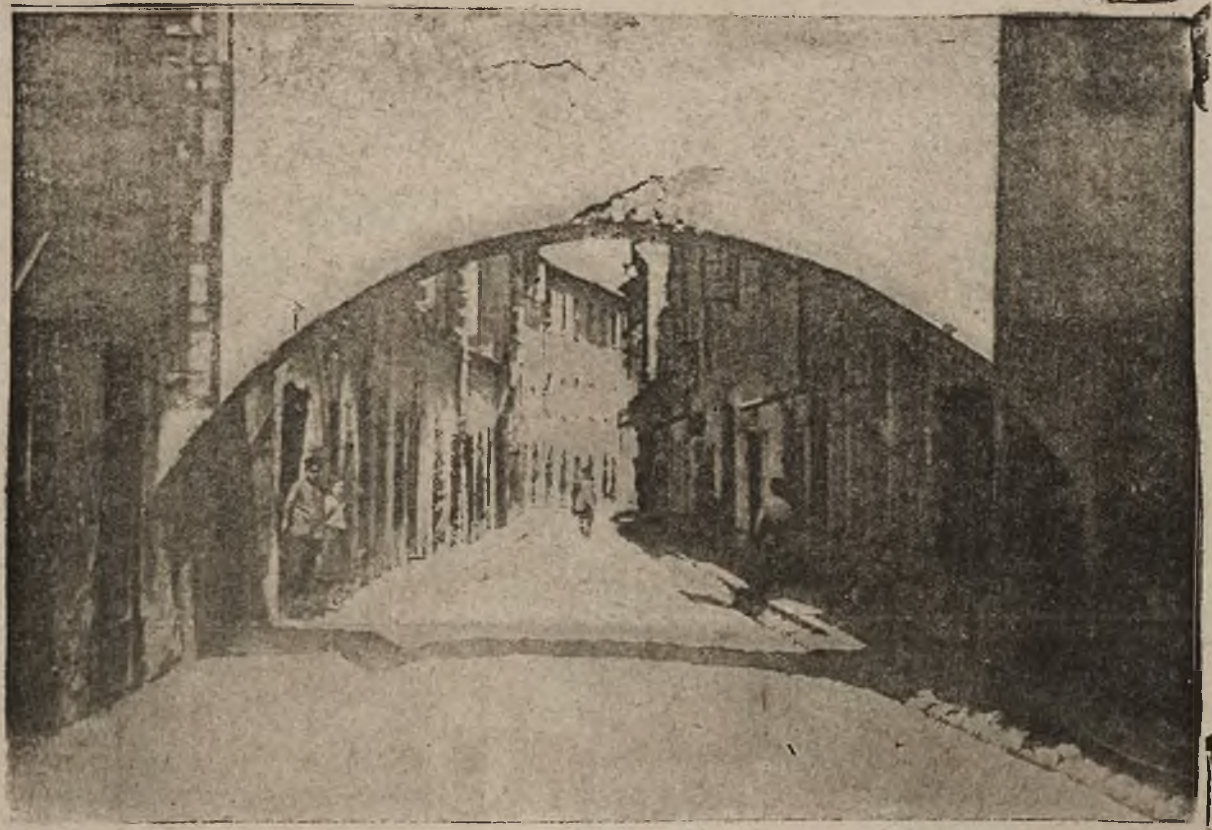
Kresy polskie w niebezpieczeństwie: Widok ogólny Wilna. (Lip. b pras)



(Lip b pr) **Kresy polskie w niebezpieczeństwie:** Przed „Ostrą Bramą" w Wilnie



Ruiny i zgliszcza: Douai zamienione w gruzy. (Fot. Bufa)



Kresy polskie w niebezpieczeństwie: Zaułek żydowski w Wilnie. (Lip b [illegible])

poparcie dla nowego rządu także gen. Hindenburg. W ten sposób cesarz niemiecki pozostał zupełnie opuszczony i odosobniony. Koalicya domaga się wydania go w jej ręce celem postawienia przed trybunałem sądowym międzynarodowym, przed którym odpowiedziałby za zbrodnie, jakich na ludzkości dopuściły się Niemcy w czasie wojny.

Podajemy illustracyę przedstawiającą proklamowanie republiki niemieckiej w Lipsku.

Ruiny i zgliszcza.

Żadna wojna nie zamieniła tak wielkich przestrzeni krajów w pustynię, jak ta, która obecnie



Upadające trony: Król Wilhelm II wirtemberski.

dobiega do końca. Wszędzie, gdzie przebiegały fronty bojowe pozostały jeno gruzy i zupełna ruina, a wiele dziesiątek lat trzeba będzie, aby z tych popiołów powstało znowu życie i zaczęła się kulturalna praca. Zarówno na wschodzie, jak i na zachodzie Europy całe połacie kraju zamienione zostały przez toczące się na nich walki w perzynę. Miasta zniknęły z powierzchni ziemi, a często jedynie czerwony pył i błoto, zmieszane z przeoraną granatami ziemią, świadczą o tem, że na tem miejscu była niegdyś wieś. Po wielu miejscowościach pozostały jeno nazwy i wspomnienie.

Najbardziej dotknięte zniszczeniem są części Galicyi wschodniej, gdzie stał front rosyjski oraz wschodnie połacie Królestwa Polskiego. Na południu zupełnej zagładzie uległy obszary Gorycyi i Gradyski zaś na zachodzie cała północna Francya i znaczna część Belgii zamienione zostały w pustynię. Ambicya Niemców, która właściwie tę wojnę wywołała ma na sumieniu te ruiny i zgliszcza jakiemi pokryła się Europa

W pożodze wojennej przepadło nie tylko mienie i dobrobyt obywateli, ale zginęły także ogromne skarby kulturalne i artystyczne. W wielu miastach Francyi i Belgii od kul armatnich runęły zabytki historyczne, które przetrwały wieki całe a obecnie pod barbarzyńskiem dotknięciem wojny legły w gruzy. W ten sposób zniszczało Reims, Dousi, Amiens, Verdun, Ypres i wiele innych, których nazwiska znane były w historyi świata.

Cała Europa stała się jednym wielkim cmentarzem. Poza zniszczeniem realnem wojna sprowadziła także ogromny przewrót w dziedzinie moralnej i etycznej. Rozwój cywilizacyi ludzkiej został bądź wstrzymany, bądź też w wielu wypadkach cofnięty zupełnie i wielu wysiłków trzeba będzie, aby znowu wydobyć na jaw to wszystko, co w pożodze wojennej zostało zatracone. Ludzkość w pojęciach swoich stała się znowu bardzo pierwotna i przewrót, jaki obecnie w całym świecie się dokonuje ma na sobie wszelkie cechy gwałtu i siły.

Po pięcioletnich walkach pozostały ruiny i zgliszcza. Odrodzić się ma z nich nowy Feniks świata, który ma budować przyszłość jego na nowych zupełnie podstawach.

Kresy polskie w niebezpieczeństwie.

Gdy polski Lwów jako strażnica Polski na południowym wschodzie stacza bohaterskie walki z hajdamacką nawałą — druga placówka polskości na wschodzie — Wilno stanęło wobec nowego a groźnego niebezpieczeństwa. Od chwili, gdy Niemcy zajęli Litwę i Białoruś — w myśl zasady *divide et impera* — rozpoczęli w tych miejscowościach przy pomocy litwomanów planową walkę z żywiołem polskim. Zamykano szkoły polskie, tępiono każdy odruch życia polskiego nawet w tych miejscowościach, gdzie Polacy stanowią bezwzględną większość, jak naprzykład w Wilnie. A gdy wreszcie padły okowy pruskiego militaryzmu, gdy krzyżacka



Upadające trony: Niemiecki następca tronu ks Wilhelm dowódca pobitych wojsk.

potęga wreszcie runęła — na kresach polskich likwidacya wojny rozpoczęła się nowym zamachem na Polaków. Z Wilna, które z takim bohaterstwem walczyło z przemocą rosyjską i opierało gwałtom najnowszych sprzymierzeńców: Prusaków i Litwinów, nadeszły wieści bardzo groźne. Według relacyi korespondentów „Gońca“ i „Kuryera Warszawskiego“ utworzyła się tam rada żołnierska niemiecka w porozumieniu z Bundem, która pierwszy wybuch nienawiści skierowała przeciw Polakom. W porozumieniu z miejscowemi żydowskiemi organizacyami bolszewickiemi bandy żołniersko bolszewickie pod pretekstem hasła bolszewickiego: „śmierć burżujom!“ wtargnęły do domów prywatnych Polaków.



Do ojczyzny: Oddział wojsk polskich na stacyi w Podgórzu. (Fot. J. Szwede)

Adam Wiaryga-Minieski.

JAK KRUKI.

Powieść z dni ostatnich.

18

— Są tam niektóre dobre kawałki w tym „Księdzu Marku“ — prawił Burczykiewicz, zstępując z schodów teatru, otulony w swoje wspaniałe futro — można się pośmiać trochę, ale nie bardzo... Na tej tam... jak się to ona nazywa... „Księżniczce... księżniczce czardasza“ to całkiem co innego... To jest dopiero ładna sztuka...

— Ale — dodała z oburzeniem szeleszcząca jedwabiami Burczykiewiczowa — żeby jakaś żydowica tak sobie z księdzem jakieś konszachty... To chyba musiał napisać jakiś żyd albo „socylista“.

— Co też mama mówi — wtrąciła żywo Stefka — „Księdza Marka“ napisał Juliusz Słowacki, wielki poeta i to jest o „kon-fe-de-ra-cyi Barskiej“

Tyle zapamiętała z prelekcyi panny Ożarskiej. Rodzice spojrzeli po sobie z widoczną dumą, a w ich oczach można było wyczytać myśl: „jaka ta Stefa robi się mądra“... A Stefka zerknęła z pod oka na Rawicza, czy też on słyszał.

Może słyszał, a może i nie, bo nie uśmiechnął się nawet i nic nie rzekł. Minę miał przeraźliwie znudzoną, znać było po drganiu jego szczęk, że przemocą wstrzymuje się od ziewania. Nie patrzył też na swą towarzyszkę, ale wzrokiem ścigał wynurzające się z morza głów kobiecych ładne, młode twarzyczki.

Nagle drgnął silnie i wyraz znudzenia ustąpił miejsca zdumieniu, zmięszanemu z przestrachem. Poznał białą czapeczkę i cudnie rzeźbiony profil Wandy Borowickiej, która w towarzystwie Rózi zbliżała sie do drzwi, prowadzących na ulicę.

Wanda była w teatrze!... Czy go widziała?!... Widziała z pewnością, boć trudno było nie widzieć.

— Co ja jej powiem?... Co ja jej powiem?...— zahuczała mu w głowie myśl. — Jak wytłomaczę?!... A bodaj to!...

Uczuł, że płomień zawstydzenia oblewa mu twarz i czoło. Jednocześnie zaś mózg jego pracował już nad wynalezieniem jakiegoś zręcznego wykrętu.

Nie zdążył jednak nic wymyślić, bo zainteresowała go mimowoli rozmowa, prowadzona przez dwóch młodych lowelasów, którzy szli tuż za nim Młodzieńcy ci robili głośne, bezceremonialne uwagi o wychodzących z teatru kobietach.

— A ta blondynka z czarnemi oczyma w białej czapce, co to za jedna? Nie wiesz przypadkiem?... Ubrana „miserable“, ale twarz... słowo daję... bogini... I figura „superbe“...

— Przypadkiem wiem — odparł towarzysz — znam nawet jej ojca. To panna Borowicka... Istotnie cudna dziewczyna ale ta, co z nią idzie, także wcale... wcale... jakie oczy, co za kształty!..

— Nie w moim guście... — skrzywił się ten, który pierwszy zwrócił uwagę na Wandę — nie lubię typów wschodnich. Ale ta Borowicka, czy jak się tam wabi, to coś „extra“. To kombinacya blondynki z brunetką... O! i temperament musi być... Wiesz one są same... Mam ochotę „przystawić“ się...

— Szkoda fatygi... To przyzwoita dziewczyna.

— Znamy się i z przyzwoitemi..

Kazimierzem wstrząsnął gniew. Jak ten śmie w ten sposób o Wandzi... o jego Wandzi!... W jednej chwili uświadamia sobie, że ta cudna dziewczyna, którą okłamywał codzień i będzie okłamywał nadal, jest mu jednak najdroższa i najbliższa w świecie.

Szybko odwrócił głowę i byłby może w pierwszym porywie ostro zgromił pewnego siebie młodziana, gdyby go w tej chwili Stefa Burczykiewiczówna nie przywołała do rzeczywistości swoim chropawym nieco głosem:

Panie Kazimierzu, tato chce iść do kawiarni... Pan pójdzie przecież z nami?

Oczy Stefy spoglądają prosząco, błagalnie, modlą się niemal...

Ale Rawicz ma już na dzisiaj dosyć towarzystwa Burczykiewiczów, i postanawia jak najprędzej ich pożegnać,

— Niestety, nie mogę... Muszę jeszcze dzisiaj pracować... Rzecz terminowa...

Dziewczyna smutnieje i spuszcza oczy.

— To i my chyba nie pójdziemy do tej kawiarni... Prawda, tato?

— Jak nie chcesz, Stefciu, to nie...

Kazimierz odprowadza Burczykiewiczów do dorożki i ulatnia się szybko, rozglądając sie, czy nie zobaczy jeszcze gdzie przed teatrem Wandy... Nie było jej już jednak.

— — — — — — — — — — — — —

Rawicz wracał do domu wzburzony, zdenerwowany. Gnębiła go myśl o Wandzie. Wiedział już, co jej powie, jak swoją obecność w teatrze w towarzystwie Burczykiewiczów wytłomaczy... Czy jednak oną uwierzy, czy zechce uwierzyć... Wanda jest mało podejrzliwą, ale bynajmniej nie naiwna.

— Uwierzy, bo mnie kocha... — pociesza się skłopotany Rawicz. — Dyabli mogli wiedzieć, że i ona będzie dzisiaj w teatrze!... Ale ona uwierzy...

Jakiś drugi, nieubłaganie krytyczny człowiek, tkwiący w mózgu Kazimierza, zapytuje bezczelnie, dlaczego mu tak właściwie zależy na tem, aby Wanda uwierzyła...

— Bo jest cudna... najszlachetniejsza... najlepsza... Bo ją kocham...

— Kochasz? — mówi tamten drugi — a Walerka... a pani Mila?... a Lusia Niżyńska... a te inne jeszcze?..,

— Trudno — broni się Kazimierz Rawicz — we mnie jest taki pogański instynkt... Ciągnie mnie piękno, gdziekolwiek je znajdę... I zresztą po części nie moja wina... Och! te kobiety same się narzucają...

— Pogański instynkt piękna, co?... A Burczykiewiczówna, co?...

— Och! te pieniądze... — mruknął Rawicz — gdybyż to one chciały się tak narzucać, jak kobiety!...

— A Wanda nie ma pieniędzy, prawda?... Dlatego będziesz ją dalej okłamywał, a z Burczykiewiczami nie zerwiesz...

— Może i zerwę... — usiłuje Rawicz oszukać to swoje drugie „ja“.

— Nie zerwiesz!... nie zerwiesz!... — odpowiada mu tamten z niezachwianą pewnością — nie łudź się!...

— Zerwałbym chętnie... Są wstrętni, ordynarni, głupi, a ich majątek brudny...

— Ale są ci potrzebni?

— No tak, są mi potrzebni... — przyznaje z rezygnacyą.

— I mogą ci być jeszcze bardziej potrzebni, nieprawdaż? Do czego ty właściwie zmierzasz? Do czego dążysz?...

— Nie wiem... nie wiem... — odpowiada Kazimierz gorączkowo — nic jeszcze nie wiem, jak się to wszystko ułoży... Ale Wandę kocham... i nie chcę jej stracić...

— Narazie... narazie... Znam cię dobrze — śmieje się tamten drugi.

Rawicz nie wie już, co odpowiedzieć temu dręczycielowi, który siedzi w nim samym i skalpelem analizy świdruje mu niemiłosiernie mózg..

Radby się wyrwać, wyzwolić od niego, to też miłem uczuciem ulgi przejmuje go nizki, kobiecy głos, który woła:

— Panie Rawicz!... panie Kaziu!...

Obrócił się żywo i zobaczył, że nadjeżdżająca, zamknięta dorożka zatrzymała się. Uchylono szybę i ukazała się głowa kobiety, otulona w kapturek teatralny z jakiemś powiewnem oszyciem z delikatnych piórek.

Jasne oczy panny Kalińskiej błyszczały jak u kota czychającego na zdobycz.

— Panie Kaziu! Zabieram pana z sobą!...

Aktorka otwarła drzwiczki i wyciągnęła rękę w długiej do łokcia rękawiczce. Rawicz poskoczył i uścisnąwszy małą, kształtną rączkę, przylgnął na chwilę wargami do rękawiczki, przepojonej odurzającym zapachem jakichś skombinowanych perfum.

— Niech pan siada, tylko prędko, bo zimno!...

Oderwała od jego ust rękę i schowała ją do futrzanego zarękawka ze śmiechem, który dźwięczał nienaturalnie.

— Tylko że ja... — zaczął Rawicz.

— Niema żadnego tylko... Siadać i już! — tupnęła nóżką niecierpliwie.

Rawicz wsiadł. Drzwiczki zatrzaśnięto, podniesiono szybę i dorożka ruszyła.

— — — — — — — — — — — — —

— Niechże pan siądzie wygodniej, bliżej... no!... — rozkazywała kapryśnie panna Kalińska — Wprawdzie do twarzy panu z tą miną cnotliwego Józefa, ale ja znam się na farbowanych lisach piękny Kaziu!... O! znam się!...

Zaśmiała się ostro, nieprzyjemnie.

— Proszę pani... — żachnął się Rawicz i gniewnie zmarszczył czoło.

— No, no tylko bez obrazy... bo to niema sensu... Wójtowe prosię obraziło się, poszło do morza... utopiło się... — domawiając tych niewykwintnych słów przysunęła się tak blizka do Kazimierza, że dotknęła jego twarza swoim aksamitnie miękim policzkiem i ramię przycisnęła do ramienia.

Rozkoszne ciepło sprężystego, rozpalonego, krwią tętniącego ciała pięknej kobiety, zapach jej puszystych włosów, drażniąca woń perfum zbudziły w „czcicielu piękna“ jego „instynkt pogański“. W jednej chwili zatailo się wrażenie niesmaku, wywołane trywialnem odezwaniem się. Gwałtowny napływ krwi do mózgu zdusił w zarodku refleksye, że jednak ta wytworna, pachnąca, wypieszczona Kalińska jest głupia, gminna i ordynarna.

Drżącą dłonią szukał Rawicz w głębi wielkiej skunksowej mufki ręki swej towarzyszki. Znalazł prędko, bo ta mała, rękawiczka obcią gnięta ręka, ani myślała uciekać. Cienkie pal e splotły się w mocnym uścisku z palcami mężczyzny. Głowa w kapturku chyliła się bezwładnie, a wilgotne, gorące wargi, przyciskając się do ucha Kazimierza, szeptały:

— Nie gniewaj się, nie gniewaj, mój panie złoty, jedyny, piękny, najpiękniejszy... Kocham cię!... Rozumiesz kocham... ciebie jednego i tylko dla ciebie samego.. I nie myśl, że mi o tę grubą masarkę chodzi... Wiem, że się z nią ożenisz, bo ma pieniądze... Ale co mi o to... Dzisiaj jesteś mój... mój.. tylko mój...

Rawicz wzdrygnął się znowu i uczynił ruch taki, jakby się chciał odsunąć w kąt pojazdu.

Kalińska nazbyt jasno i brutalnie rzuciła mu w oczy to, co w jego umyśle nie skrystalizowało się dotychczas w świadomą myśl... Nawet przed samym sobą nie miałby odwagi wypowiedzieć tego, nawet przed samym sobą nie przyznałby się.

A ta tak bez ogródki, po prostu: „ożenisz się z nią, bo ma pieniądze“... Jak śmie?! Jaka ordynarna!...

— Proszę pani... — zaczął ostrym tonem, puszczając jednocześnie rękę aktorki — kto pani powiedział, że ja wogóle...

Nie dokończył. W tej chwili kosztowny zarękawek upadł na dno dorożki, a dwoje ramion okrągłych i jędrnych, wyzwolonych z szerokich rękawów pluszowego płaszcza, oplotło się wokół szyi Rawicza.

— Ty... ty kapryśniku niedobry... znowu złościsz się na Lulę... Dałabym ja innemu, gdyby się ośmielił... — wionął mu prosto w twarz szept namiętnością nabrzmiały.

Pannie Kalińskiej rodzice nadali mało poetyczne imię Teofili. Nie używała go więc i w kołach jej przyjaciół i kolegów zwano ją Lulą.

— No... no... nie złość się... — uczuła w nim coś jakby odruch oporu.

Kazimierzowi zamajaczyła nagle jasna postać Wandy i jej cudne oczy, patrzące tak prosto, szczerze i ufnie. Zanim jednak ten obraz, jakby fotograficznie odbity zdołał wzbudzić jakąś myśl w jego mózgu, na usta spadł mu pocałunek rozgniatający, zachłanny, drapieżny. W jego wargi wpiły się rozpalone, chciwe pieszczoty wargi kobiece.

Krwawa mgła przesłoniła obraz Wandy.

— Do mnie jedziemy? — szepnęła po długiej chwili piękna Lula, kiedy usta rozłączyły się wreszcie z ustami — albo może do ciebie...

Rawicz był oszołomiony, odurzony, miał wszakże tyle jeszcze przytomności umysłu, aby sobie uświadomić, że jego skromne kawalerskie mieszkanie nie nadaje się bynajmniej do przyjmowania kobiet tego rodzaju co Kalińska. Co innego Walerka... Co innego choćby pani Mila, ale ta... przyzwyczajona do elegancyi... do zbytku..

— Nie... do mnie nie można.

— Aha! Mieszkasz pewnie z rodziną?

— Tak... tak... z rodziną...

— W takim razie do mnie.

Rawicz przesunął ręką po czole. Wszystkie jego wyrozumowane poglądy etyczne protestowały. Do niej jechać.. to znaczy do mieszkania, które dla Kalińskiej utrzymuje Wilski.

Okradać Wilskiego w mieszkaniu, płaconem przez niego, z jego utrzymanką.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Upadające trony: Król saski z dziećmi.



Przyjaciel Rusinów: Syn arcyksięcia Karola Stefana arcyksiążę Wilhelm.

Ostatni dzień parlamentu.

Zmiana wewnętrznego ustroju w Austro-Węgrzech spowodowała także zupełną przemianę wewnętrznej politycznej organizacyi całego państwa. Izba posłów, która przez cały czas rządów konstytucyjnych monarchii była wyrazicielem opinii jej ludów i trybuną, skąd rozlegał się głos przedstawicielstwa ludowego, zamknęła swoje podwoje.

Parlament austryacki w historyi monarchii odgrywał zawsze bardzo wybitną rolę. Z natury rzeczy, jako najwyższa instancya ustawodawcza w myśl konstytucyi posiadał władzę prawie współrzędną monarsze. Z chwilą kiedy idee wolnościowe i narodowościowe zaczęły zyskiwać co raz szersze koła zwolenników, trybuna parlamentu dawała możność przedstawicielom tych ideałów wytaczania ich na forum publiczne. Chorobą parlamentu austryackiego była zawsze kwestya narodowościowa. Od pierwszej chwili jego istnienia sprawa ta stanęła na porządku dziennym i częstokroć była powodem bardzo głębokich przesileń politycznych. Ona też wreszcie doprowadziła do tego, że w parlamencie austryackim istniała faktycznie większość słowiańska. Jedynie polityka Koła polskiego, które tradycyjnie przez dziesiątki lat współpracowało stale z Niemcami, umożliwiało tym ostatnim zagarnięcie tak wybitnego wpływu na ukształtowanie się polityki monarchii. Gdyby nie to, rządy niemieckie przestałyby już dawno być jedynym czynnikiem decydującym w państwie.

Z chwilą jednak, kiedy Koło Polskie przeszło do opozycyi, a właściwie do obozu słowiańskiego, skończyły się także i wpływy niemieckie. Znaną rzeczą jest, że ilekroć Koło polskie stawało przeciw rządowi, rząd ten musiał rezygnować z władzy; a dopiero interwencyi cesarza trzeba było, aby utrzymać Koło polskie w sojuszu z Niemcami.

Historya parlamentu austryackiego jest zarazem historyą parlamentaryzmu polskiego z czasów zaborczych. Szereg wybitnych polityków, w których rękach częstokroć spoczywały losy całej monarchii, wyszedł z obozu polskiego. Dla Polaków częstokroć trybuna parlamentu austryackiego stawała się mownicą, skąd szły hasła na całą Polskę i padały słowa imieniem wszystkich Polaków.

Dążność do samodzielności narodów rozsadziła Austryę, a zarazem zamknęła tę mownicę ludów monarchii.

Po ogłoszeniu manifestu cesarza Karola o samostanowieniu narodów, Izba posłów właściwie automatycznie wygrała swą rolę. Prawa jej przejęły poszczególne Zgromadzenia narodowe. W tych dniach odbyło się ostatnie uroczyste posiedzenie parlamentu. Przybyli na nie właściwie tylko Niemcy, przedstawiciele innych narodów reprezentowani byli przez szczupłe grona delegatów. Z Polaków obecnych było trzech posłów. Prezydent Izby dr. Gross wygłosił przemowę, w której przedstawił obecne położenie monarchii, oraz zamknął na zawsze obrady tego ciała parlamentarnego.



Ostatni dzień parlamentu: Sala obrad parlamentu austryackiego w czasie posiedzenia.

Budynek parlamentu objęła w posiadanie Rada Stanu republiki niemiecko austryackiej.

Podobnie zakończyły się już prace Izby panów. Ta nie odbyła nawet wogóle pożegnalnego zebrania.

Przewrót, jaki się dokonał w Austryi, sięgnął i na Węgry. Tam także w tych dniach odbyło się ostatnie posiedzenie sejmu węgierskiego.

Reprezentacya wszystkich narodów monarchii jako całość przestała istnieć.

Podajemy illustracyę przedstawiającą wnętrze sali obrad parlamentu w czasie obrad.

Upadające trony.

Europa przeżywa obecnie przewrót sięgający głęboko w życie wewnętrzne narodów. Trony walą się, pękają okowy, jakimi dotychczas krępowana była wolność twórcza narodów. Huragan dziejowy, jaki przewala się po Europie, jako następstwo bezlitosnej wojny, w jaką ludzkość została wepchnięta, wstrząsnął dotychczasowym porządkiem i nagle bez dachu nad głową znaleźli się ci, co dzień przedtem rozkazywali jeszcze ludom. W momencie, kiedy nad Europą zaświtała nadzieja pokoju, podniosły się uciskane dotychczas ludy do walki o swoje prawa i swobody. Rzucona przez Wilsona zasada samostanowienia narodów wywołała jako następstwo nietylko odruch wolnościowy u narodów jako takich, ale także u mas robotniczych całego świata, które podniosły hasła niezależności i swobody. W ten sposób ponad Europą powiał duch rewolucyi. Jeden za drugim znikają trony i tracą władzę wielkie rody, których historya związana jest z dziejami Europy.

Najpierw runęła w gruzy potęga Habsburgów. Kiedy cesarz Karol ogłosił manifest o podziale Austryi na państwa narodowościowe, podpisał tem samem dekret na swój los. Nowo powstające władztwa zarządały natychmiast prawa samoistnego stanowienia o formie państwowej, jakiej mają w przyszłości podlegać. Zarówno państwo czeskie, jak i jugo-słowiańskie, jak wreszcie i nowe państwo niemiecko-austryackie same postanowiły rozstrzygnąć, kto nimi ma rządzić. Duch wolnościowy podsycany przeświadczeniem, że dotychczasowy porządek, jako dopuszczający do krwawych masowych rzezi, jest zły i nie odpowiada potrzebom ludzkości, podniósł hasło republikańskie. I oto powstają jedna po drugiej republiki demokratyczne, zaś cesarz Karol znalazł się bez państwa. Sam czując, że chwila dziejowa przeszła nad nim do porządku dziennego, ogłosił manifest o swem ustąpieniu.

W Austryi przewrót dokonał się spokojnie i jako ewolucya powolna i przygotowana. Zupełnie inaczej było w Niemczech. Pod naciskiem fali socyalistycznej, która widząc jedyną drogę do pokoju po przez tron cesarza Wilhelma, przeciw niemu stanowczo wystąpiła, musiał cesarz Wilhelm zrzec się władzy, a nadto uciekać z kraju. Wraz z nim los taki sam dosięgnął następcę tronu. Odrazu cały ród Hohenzollernów został odsunięty od władzy. Pokryjomu Wilhelm dostał się automobilem do Holandyi, gdzie został internowany przez rząd holenderski aż do chwili, gdy zostanie uznanem, że pobyt jego w państwie neutralnem nie zagraża ogólnemu spokojowi. Tak padł ten najdumniejszy władca, który zdawał się w swych rękach trzymać losy świata i który pragnął nim kierować wedle swej woli.

Fala ruchu wolnościowego ogarnęła po kolei wszystkie państwa związane w Rzeszy niemieckiej. Jeden po drugim upadają trony. Ustąpił władca Bawaryi, Saksonii i innych mniejszych państw związkowych. — Wszędzie powstają rady robotniczo-żołnierskie i one ujmują władzę w swe ręce wprowadzając nowy porządek społeczny, oparty na socyalistycznych podstawach.

Trony się walą. Ponad światem wschodzi jutrzenka swobody ludów i mas ludowych. Oby ona tylko poszła po właściwej drodze i stała się dla przyszłości narodów prawdziwym zwiastunem pokoju.



Upadające trony: Ernest II. książę Sasko-Altenburski w otoczeniu swego sztabu



Cesarz Karol i cesarzowa Zyta



Cesarz Wilhelm.

Upadające trony:

Fred. M. Withe.

Szkarłatna orchidea.

Przekład J. S.

10

Hrabia mimowoli pod wrażeniem się cofnął i wykrzyknął:

– O Boże! Kto ona? Skąd ona ma ten rubin? Przysiągłbym, że to jest ten prawdziwy i że Frobisher, mimo kreciej roboty... Ale on nie powinien tego klejnotu zobaczyć, za wszelką cenę muszę temu przeszkodzić... – rozmyślał po cichu.

Pospieszył z powrotem do palarni. Kolana mu drżały, pot kroplisty wystąpił na czoło. Zrobił odkrycie, które wstrząsnęło nawet jego silnymi nerwami, odkrycie, o którem Frobisher wiedzieć nie powinien.

Gospodarz domu siedział jeszcze spokojnie przy swym kieliszku, nie zdradzając się niczem, jak wielkie na nim zrobiło wrażenie roztargnienie i podniecenie hrabiego.

– Czy pan po mnie przychodzi? – zapytał wesoło. – Czy i ja mam podziwiać damę rubinową? Spodziewam się, że twarz jej jest odpowiednia do stroju. Poznał ją pan?

– Nigdy w życiu jej nie widziałem – odparł Lefroy, opanowany jedyną myślą zatrzymania tu Frobishera – już się zresztą nią wcale nie interesuję. Zostańmy lepiej tutaj, zapalmy cygara i pomówmy swobodnie. Cóż pan na to?

Frobisher nic nie odpowiedział, tylko bystro spojrzał w twarz hrabiego, jak gdyby chciał mu wejrzał na dno duszy.

Śmiech i rozmowy wyraźnie dochodziły do ich uszu z sąsiedniej sali, poczem głos jakiś oznajmił przybycie spóźnionego gościa:

– Jego Wysokość, chan Kurdistanu!

Frobisher szybko spojrzał na hrabiego, którego bladość dobitnie wskazywała na jego stan podniecony.

W rzeczywistości zimny dreszcz przebiegł hrabiego, kiedy usłyszał wygłoszone nazwisko chana azyatyckiego. Co skłoniło księcia do przybycia w domu milionera o tak późnej porze? Pytanie to uczepiło się mózgu hrabiego i pozbawiło go nietylko panowania nad sobą, ale i jasności myśli.

– Zdaje się, że panu upał szkodzi, drogi hrabio! – brzmiały słowa współczucia. – Czyż można dać wiarę temu, że bohater tylu przygód ulega wysokiej temperaturze! No tak – nawet Herkules może się udławić pestką pomarańczy. Może jeszcze kieliszek koniaku?

Lefroy odpowiedział tylko słabym uśmiechem. Zrozumiał dobrze, że ten złośliwy człowiek, siedzący naprzeciw niego, mimo wszystko, przejrzał go.

– No, jeszcze jeden kieliszek, hrabio. Wypalmy sobie spokojnie cygaro i nie troszczmy się o towarzystwo.

Lefroy skinął głową. Ten projekt był mu bardzo na rękę, bo przez to zyskiwał na czasie i mógł namyślić się nad sposobem dalszego zachowania.

– Czy pan już wie, kto jest ową damą rubinową? – podjął Frobisher na nowo.

– Tak! – odparł Lefroy z udaną obojętnością. – Właściwie rozczarowałem się – przypuszczałem, że to co najmniej jaka księżna, a tymczasem...

Wzruszył pogardliwie ramionami.

– A tymczasem? – powtórzył sir Clemens. – Jestem istotnie bardzo ciekawy, kto jest ta kobieta?

Hrabia już chciał wybuchnąć, że pytanie to jest zupełnie zbyteczne, albowiem Frobisher bardzo dobrze wie, kto ona, rozmyślił się jednak i odparł lekceważąco:

– Nie spodziewałem się spotkać pod pańskim dachem żony lichwiarza – lady Frobisher...

– W ostatnich czasach zajęła się opieką nad proletaryatem! – dokończył Frobisher sarkastycznie. – Ach, więc to pani Bernsteinowa jest tą ogólnie podziwianą damą rubinową? Zaraz sobie myślałem – tylko żona takiego człowieka mogła sobie pozwolić na takie klejnoty. Ale to prześliczna kobieta; ona z pewnością zyska olbrzymie powodzenie w towarzystwie.

Lefroy powiedział parę niewyraźnych słów, a myśl jego pracowała znów nad tem, w jaki sposób mógłby wrócić na salę balową, ale tak, ażeby Frobisher pozostał.

Nie przeczuwał, że sir Frobisher miał zupełnie tą samą myśl w stosunku do niego. Jako chytrzejszy, pierw też znalazł sposób wykonania swej myśli.

– Interesuje mnie ta rubinowa dama – ciągnął rozmowę dalej – przedewszystkiem dlatego, że szalenie lubię rubiny. Żona moja to umiłowanie dzieli ze mną, jak niejedną fantazyę i posiadamy wcale ładny zbiór nieszlifowanych kamieni, które naprawdę są warte widzenia. Pokażę je panu.

– Ależ, niech się pan teraz nie trudzi! – zaprotestował przerażony Lefroy. – Innym razem może.

Frobisher spojrzał mu badawczo w oczy.

– Mój przyjacielu, pan musi się jeszcze napić koniaku – nerwy pańskie rozstrojone.

To mówiąc wstał, podszedł do szafki i wyjął z niej skrzyneczkę, pełną istotnie pięknych rubinów.

Chwilowo hrabia tak był zajęty oglądaniem rubinów, że Frobisher skorzystał z tego i wyjrzał na salę, gdzie spostrzegł swą żonę.

– Noro! – odezwał się szybko. – Proszę cię, chodź ze mną i zabaw przez pół godziny hrabiego Lefroy.

Posłusznie, choć niechętnie, pani Frobisher weszła do gabinetu. Rozjaśniła się jednak na widok rozsypanych kamieni.

– Mamy jednakowy gust, panie hrabio? – zapytała, przesypując klejnoty przez palec.

Lefroy potwierdził.

– Możebyś naszego przyjaciela przez chwilę zabawiła! – odezwał się sir Frobisher, odrzucając papierosa do kominka. – Nie bardzo dobrze się czuje i powinienby odpocząć pół godziny. Klejnoty go zainteresują. Tymczasem ja zajmę twoje miejsce.

Powiedział to tonem tak naturalnym, że Lefroy nie mógł zaprotestować. Lady Frobisher opowiedziała mu historyczne znaczenie niektórych kamieni. Przez grzeczność musiał słuchać – oddalić się nie mógł, bo byłby to brak taktu – tego więc dopuścić się nie mógł.

Tymczasem Frobisher wmięszał się między swych gości. Nie spieszył się – Lefroy był przecież chwilowo nieszkodliwy. Po drodze spotkał Angelę.

– Jak pięknie dziś wyglądasz, ty bogini pokoju! – zwrócił się do niej z podziwem. – Opowiedz mi co o zabawie. Któż jest królową balu?

– O, bezsprzecznie pani Bernsteinowa – odparła Angela z widocznym zachwytem. – Jest cudnie piękna i ma prześliczne rubiny. Wszyscy o niej mówią.

– No, a ona? Jakże się zachowuje wobec takiego powodzenia?

– Zupełnie korrekt. Z początku trzymali się ludzie od niej z daleka, teraz jednak wszyscy chcą być jej przedstawieni. I ja dłuższą chwilę z nią rozmawiałam. Podoba mi się nadzwyczajnie, jest istotnie bardzo miła. Przekonana jestem, że wszędzie będzie miała powodzenie.

– I ja tak myślę. Jej piękność, inteligencya i klejnoty są dostateczną rękojmią. Gdzież ona? I ja chciałbym z nią porozmawiać. Czy nie wiesz, gdzie mógłbym ją znaleźć?

Angela nie mogła mu udzielić tej informacyi. Ścisk był za wielki, a do tego niespodziewane przybycie azyatyckiego księcia tłum poruszyło jeszcze więcej.

X.

Chan Kurdistanu, wprawdzie zaproszony na bal do lady Frobisher, nie był wcale usposobiony do wziecia w nim udziału. Poprzednio bowiem uraczył się zbytnio trunkami i czuł potrzebę wypoczynku. Przeszkodził mu jednak w dobrych tych zamiarach jeden z jego ministrów, który przyniósł do podpisu bardzo ważne papiery państwowe.

Poddawszy się tuszowi zimnemu, usiadł przy filiżance mocnej, czarnej kawy i począł rozmyślać nad trudnem swem położeniem, w które popadł z powodu przyczyn rozmaitych. Nie mogąc nic wymyślić, posłał po Harolda Denversa, jedynego człowieka, któremu trochę wierzył.

– Kazałem pana poprosić, panie Denvers – przywitał wchodzącego – żeby mi pan dopomógł w biedzie, jeśli pan potrafi. Wpadłem okropnie z błękitnym rubinem. Jeśli nie zdołam go odzyskać natychmiast, to nie będę się już mógł pokazać w ojczyźnie.

– Czy kto odkrył tajemnicę, że go pan nie posiada?

– Tak jest. Lefroy popsuł mi grę. Od szeregu lat intryguje przeciw mnie, ażeby kuzyna mego na tron wprowadzić. Nawet moi ministrowie są mi wrogami. A teraz Lefroy oddał mnie im zupełnie pod władzę. Nie obwiniają mnie oni otwarcie, ani też nie żądają pokazania klejnotu – nie, na to są za mądrzy. Jeden z ministrów, o którym wiem, że już od dawna jest na żołdzie mego kuzyna, zjawił się nagle z papierami, które wedle jego twierdzenia są bardzo ważne i które ja natychmiast muszę podpisać i pieczęcią opatrzyć. Na nieszczęście nie mogę odmówić, bo to są kwestye, które już mają moją sankcyę.

– Czy te dokumenty muszą być koniecznie pieczętowane tym rubinem?

– Koniecznie. Jest to zwyczaj odwieczny i żaden panujący nie poważy się odeń odstąpić. Hamid był tu dziś po południu; odesłałem go z niczem pod pozorem, że jestem chory. Cóż jednak uczynię, jak przyjdzie po raz drugi? Głowa mi pęka – nie widzę żadnego wyjścia.

Gwałtownie uderzył pięścią w stół. Jedynem wyjściem byłoby natychmiast mieć dwadzieścia tysięcy funtów, aby klejnot wykupić. W tej chwili jednak wszystkie źródła były wyczerpane. Nawet swoje dochody chan zastawił, a osobiste kapitały wydał był na rozmaite przyjemności.

– Co ja zrobię? Dziś jeszcze muszę klejnot odzyskać – po raz drugi nie mogę Hamida odprawić z niczem.

– Musimy jednak zyskać na czasie! – odparł Denvers. – Niech mu pan poprostu powie, że tak kosztownego kamienia pan nie może trzymać w hotelu. Nie słyszał pan nigdy o banku angielskim?

Chan mrugnął z zadowoleniem oczyma, domyślił się bowiem, co Denvers mu radził. Nim jednak zdążył odpowiedzieć, ktoś zapukał do drzwi i do pokoju wszedł Hamid.

– Czemu mi znowu przeszkadzasz? – ofuknął go władca. – Czy nie widzisz, że jestem zbyt słaby, abym się miał zajmować teraz sprawami państwowemi?

Hamid skłonił się aż do ziemi. Zapewniał, że jest nieszczęśliwy z powodu, że trudzi swego pana. Allach niechaj go za to ukarze i wszystkie psy Kurdistanu niechaj wyją nad grobem jego ojca, ale sprawa ta musi być załatwiona.

– Nie mam klejnotu przy sobie! – oświadczył chan. – Byłem zbyt słaby, abym mógł sam pójść po niego, a innym tej misyi powierzyć nie mogę. Ty psie, czy sądzisz, że taki kamień będę trzymał w hotelu? Tu w Londynie jest sklepiony gmach ze schowkami żelaznemi, których dzień i noc pilnują straże. Nazywa się ten gmach depozytem Anglii, a bogacze tam chowają swe skarby. Mój kamień też tam spoczywa – patrz, oto klucz od skrytki.

Z powagą pokazał zdumionemu urzędnikowi zwykły klucz od bramy. Wobec takiego dowodu Hamid nie ważył się obstawać przy swem żądaniu. Jeszcze raz skonfudowany przeprosił władcę i zapytał uniżenie, czy może przyjść nazajutrz.

– Tak, jutro w południe – odparł władca obojętnie – no, a teraz wynoś mi się za drzwi!

Ledwo Hamid wyszedł, opuściła księcia cała powaga i wybuchnął śmiechem. Miał tylko czternaście godzin czasu, zyskał czternaście godzin zwłoki. Skąd przyjdzie ratunek, zbawienie? Spojrzał pytająco na Deversa, zatopionego w myślach. Młody człowiek ważył w myśli wszystkie możliwości rozwikłania trudnego zadania. Jeśli zdoła chanowi dopomóc, szczęście i przyszłość będzie miał zapewnione. To sprawa wprawdzie nie łatwa, ale znów nie tak trudna, zwłaszcza, że była o podkładzie politycznym. Obecny chan, z poglądów, nawyczek i błędów Anglik, posiadał przychylność rządu angielskiego, który dopomoże mu już choćby ze względu na opozycyę ku kandydatowi na tron, którego popierała Rosya.

– Jest tylko jeden środek – przerwał milczenie – musimy spróbować wyzyskać chciwość Bernsteina. On pana zna i wie, że nazwisko pana jest gwarancyą za większą sumę, choćby jej zaraz otrzymać nie mógł – dlatego możeby się dał nakłonić do poczekania z zapłatą parę tygodni. Niech pan zażąda klejnotu, a za to niech mu pan przyrzecze dwa tysiące funtów.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z żałobnej karty.

Zmarł w naszem mieście — powszechnie znany — twórca pierwszego w Polsce Konserwatoryum tanecznego, Leopold Pol. Doliński.

Karyerę swoją artystyczną rozpoczął ś. p. Doliński jako artysta dramatyczny. Pracował na scenach miejskich we Lwowie, Warszawie, Poznaniu i Krakowie, gdzie również prowadził przez pewien czas dyrekcyę teatru ludowego. Wybitny jednak

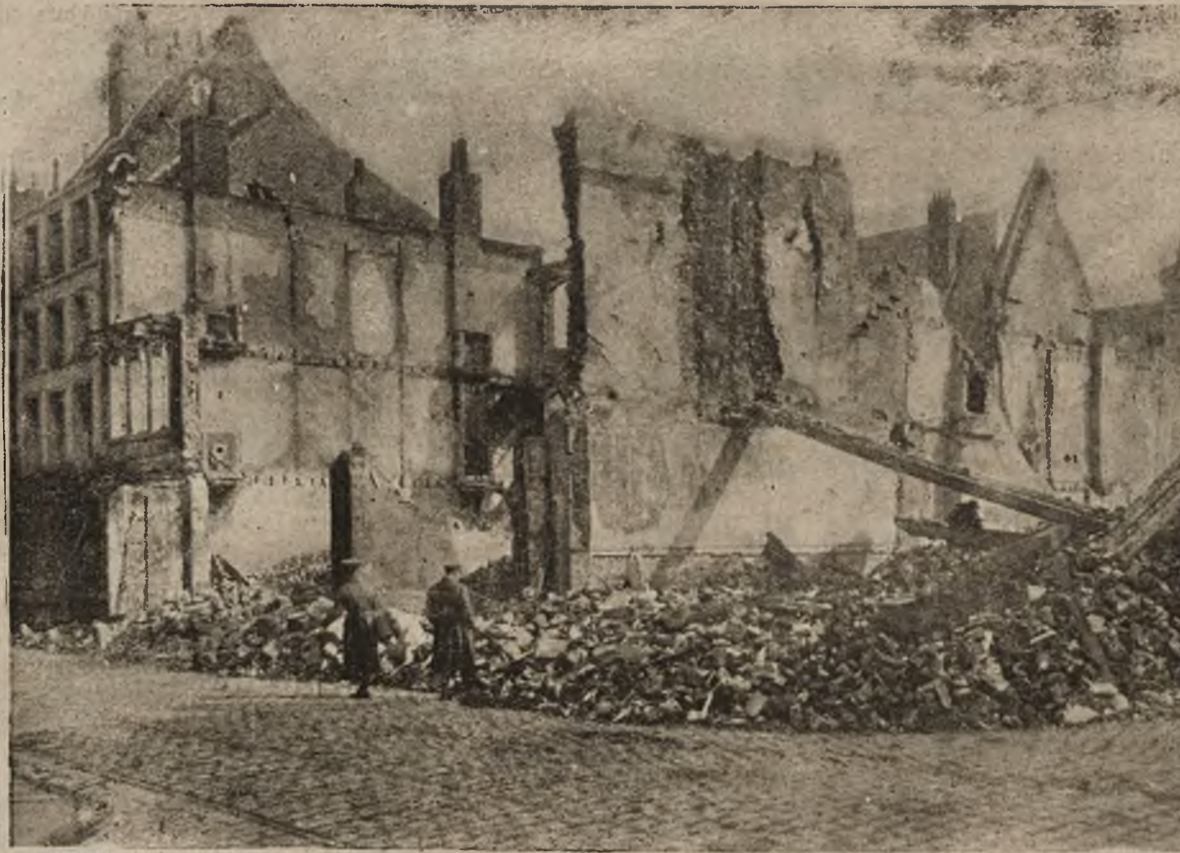


Z żałobnej karty: Leopold Pol. Doliński

talent jego choreograficzny wiąże go wnet na całe życie z muzą Terpsychory. Stwarza on już w Poznaniu w roku 1897 własny balet klasyczny, oraz polski balet narodowy. Równocześnie zakłada w Poznaniu szkołę tańców i kursa gimnastyki rytmicznej. Po wydaleniu z zaboru pruskiego w roku 1902 przenosi się do Krakowa, gdzie nie zrywa jednak z pracą sceniczną. W roku 1906 porzuca scenę. Zostawszy profesorem Akademii tanecznej we Wiedniu oraz członkiem honorowym Akademii tanecznej w Berlinie, przeistacza swoją uczelnię na Konserwatoryum z szerokim programem nauk.

Zasługą ś. p. Leopolda Pol. Dolińskiego było, że pierwszy w kraju wprowadził naukę tańca klasycznego, tak świetnie interpretowanego przez córkę swoją, znaną zaszczytnie artystkę Ninę Dolli.

Zmarły jest autorem popularnych sztuk scenicznych: „Awantury ślubne“, „Tajemnice Krakowa“, oraz pantominy: „Wesele w Ojcowie“. Wydał również szereg książek fachowych.



Ruiny i zgliszcza: Ulica w Douai, zniszczona w czasie walk. (Fot. Bufa)

Przyjaciel Rusinów.

Przed kilku dniami doniosły dzienniki, że po stronie Ukraińców zdobywających Lwów i wydzierających go z rąk polskich, walczy także syn arcyksięcia Karola Stefana z Żywca, młody ks. Wilhelm. Wiadomość ta wywołała bardzo przykry oddźwięk w społeczeństwie polskiem, które do osoby arcyksięcia odnosiło się zawsze z pełną życzliwością.

W sprawie tej arcyksiążę Karol Stefan ogłosił w pismach krakowskich oświadczenie stwierdzające, że syn jego jest pełnoletni i że postępowanie jego, z którem arcyksiążę się nie solidaryzuje, nie odpowiada intencyom arcyksięcia.

W ten sposób młody „heroj“ rusiński na własną rękę demonstruje swe ruskie uczucia, postępując w tym wypadku zupełnie odmiennie od wszystkich innych członków rodziny cesarskiej, którzy zupełnie od okazywania swych politycznych zapatrywań w obecnej chwili całkiem słusznie się usunęli.

Dla wiecznej rzeczy pamiątki podajemy podobiznę tego zwolennika hajdamaków galicyjskich.





Rozbity pociskami kościół w Colbertaldo. Ruiny i zgliszcza: Ruiny kościoła w Vegersku. (Fot. Bufa)

Kronika tygodniowa.

W ubiegłym tygodniu sytuacya zmieniła się chyba tylko o tyle, iż mamy już prawdziwą zimę choć jeszcze nie kalendarzową, ale z mrozami i przedwojennym śniegiem, który spadł po raz pierwszy w tym roku w dniu 13 listopada.

Święty Marcin sprzeniewierzył się więc tradycyi i nie przyjechał do nas na siwym koniu, ale nic w tem dziwnego. Konie zaczynają u nas należeć już do rzadkości. Rekwizycye na cele wojenne zrobiły swoje, a do reszty dogodziła czworonogom wszelkiego rodzaju centrala rozdziału paszy, wprowadzając i dla nich dni urzędowego postu. A że bydlęta są głupie i nie mogą zrozumieć, że dzieje się to dla dobra ogółu, a nie czyjegoś tam interesu, nic też dziwnego, że przeważnie wyzdychały z głodu.

I święty Marcin pozbawiony też został widocznie swojego siwka, naśladując w ten sposób mimowoli austryackiego kawalerzystę, który, choć na papierze należy do konnicy, musi chodzić piechotą.

Wyręczył i zastąpił świętego Marcina w dniu 13 listopada według jednego kalendarza św. Dydak, wyznawca, według drugiego św. Stanisław Kostka.

Tradycya, jaka się u nas wiąże z uroczystością św. Marcina, ucierpiała także i pod innym względem.

Po inne lata dzień ten przeznaczony był na rzeź niewiniątek, nazywających się gęsiami. Każdy szanujący się obywatel, który co niedzielę chodzi na flaki, nie byłby ścierpiał, aby w tym dniu nie ujrzał na swym stole gęsiny. — W tym roku większość musiała się obejść smakiem, ale nie dlatego, jakoby może w Krakowie brakło gęsi. Broń Boże! Są, ale jeden okaz kosztuje tyle, że mając tyle pieniędzy w kieszeni, mogłeś kupić co najmniej ...strusia, by twoja żona mogła nosić na kapeluszu pióra własnego chowu.

Dziś na kupno gęsi może sobie pozwolić dostawca wojenny, paskarz lub członek czynny jakiej centrali, bo tylko ci ludzie mają monetę. Można wprawdzie nabyć gęś i w magistracie lub jakimś konsumie i to dość tanio, ale tutaj prócz pieniędzy trzeba mieć i protekcyę.

Ale bez gęsi można się jakoś obejść. Z powodu jej braku nikt jeszcze nie umarł. Po wojnie odbijemy sobie to z nawiązką i gęsiemu rodowi sprawimy prawdziwą noc świętego Bartłomieja. Na razie możemy się cieszyć, że nasze gęsi domowe, choć nie są ptakami przelotnymi, pojechały na Zachód i tam ratują biednych Wiedeńczyków od śmierci głodowej.

Kronikarzowi przypomniały się mimowoli dawne czasy, gdy w jednym z lokali zapytał o ćwiartkę gęsiny i dowiedział się, że kosztuje tylko... dwadzieścia i dwie korony.

— Mój Boże! — pomyślał sobie w duchu. — A dawniej u Mandelbauma miało się pół gęsi za guldena i jeszcze wydano szóstkę reszty... A człowiek narzekał, że drożyzna!... Czy my, starzy, doczekamy jeszcze podobnych czasów?

A jakiś głos wewnętrzny odpowiedział na to:

— Pewnie, że doczekasz, jeśli przedtem nie umrzesz! Ale na to poczekać musisz przynajmniej ze sto lat, nim się stosunki tak ułożą, by życie mogło znowu biedz normalnym torem...

Z okazyi zimna i śniegu ludziska powłazili w futra i paradują w nich po mieście, patrząc z góry na tych, którzy nie rozporządzają podobnem nakryciem cielesnej powłoki. A do tych naturalnie należy i kronikarz, nie mogący się poszczycić takim skarbem, jakim dziś są bezsprzecznie jesiotry. Miał je ongiś, przed laty, ale dawno już powędrowały na tandetę, nadwerężone zębem czasu i przez mole. Ratując je, stosował wprawdzie jedynie niezawodną maść na porost włosów, wynalazku pewnego znanego chemika (nawiasem mówiąc, łysego, jak kolano!...), ale i to na nic się nie zdało. Uparte włosy ani rusz nie chciały napowrót wyróść, wobec czego całe futro musiało przejść w stan dobrze zasłużonego spoczynku.

Dzięki mrozom wzięła natomiast w łeb hiszpanka. Tak przynajmniej utrzymują niektórzy znawcy. Inni natomiast są zdania, że dogodziły jej właściwie mgły, jakie mieliśmy w ostatnich czasach.

Bo trzeba wiedzieć — tak mi przynajmniej tłumaczył pewien hygienista — że taka szelma bakcyl hiszpański to bardzo wygodne stworzenie, które nie lubi chodzić po ziemi, już choćby tylko z tego powodu, iż nóg niema, siedzi sobie natomiast okrakiem na jakimś pyłku, niczem na aeroplanie i buja w powietrzu, dopóki go nie połknie jaki zgłodniały obywatel.

W Krakowie na brak pyłu narzekać nie możemy, miały więc owe bakcylusy prawdziwą ziemię obiecaną i dokazywały tak, że im nawet ów ślub na żydowskim cmentarzu nie poradził.

Ale mgła zrobiła swoje. Bakcyl w górę, mgła go za łeb i na dół, do błota. A że u nas i błota nie brak, potopiły się niegodziwce.

Ta teorya jest bardzo do prawdy podobną, choć mnie się zdaje, że na zmniejszenie się epidemii wpłynęło raczej zimno i to tylko pośrednio.

Jak już wyżej wspomniałem, kto miał futro, wyciągał je z kufra, szafy lub zastawu, a że tam nie żałowano mu naftaliny, całe miasto nią nagle zapachniało. Ponieważ zaś ten hiszpański bakcyl ma bardzo delikatne powonienie i nie znosi smrodów, wyniósł się, gdzie pieprz rośnie. Posiadacze futer ani nawet nie przypuszczają, jakie dla ogółu położyli zasługi i jaką frajdę sprawili panu fizykowi, przeprowadzając zupełnie bezwiednie dezynfekcyę miasta na swój własny koszt.

Faktem jest, że hiszpanki tak jak gdyby już u nas nie było, co przecież nie wyklucza bynajmniej, że może się pojawić znów jaka nowa epidemia, boć i lekarze i aptekarze, a z nimi razem i pogrzebacze muszą żyć, a czasy, choć wojna niby się kończy, stają się coraz cięższe.

Co do zbliżającej się zimy, to należy stwierdzić, że będzie ona najprawdopodobniej bardzo ciężka. Wnoszę to z powtarzających się coraz częściej kradzieży futer. Panowie złodzieje wiedzą co czynią. Gdy aprowizacya była piętą Achillesa naszego społeczeństwa, kradli tylko artykuły spożywcze, obecnie przerzucili się na ubrania, zwłaszcza zimowe.

Ze względu na zimową porę nie zazdroszczę też tym, którzy zaciągnęli się pod sztandary milicyi i pełnić muszą w nocnej porze służbę bezpieczeństwa na ulicach miasta.

A takich jest bardzo wielu. Zwłaszcza żonaci tłumaczyli się brakiem czasu w dzień i nie zważając na opozycyę swych połowic zgłosili się na nocne dyżury. Znam jednego, który już od tygodnia spędza noce poza domem, a lepsza jego połowa, opowiadając o tem swym przyjaciółkom, powtarza z westchnieniem:

— Jak ten biedak poświęca się dla dobra ogółu! Byłoby wskazanem, aby i inni obywatele wchodzili w jego ślady!

Kto wie, czy nie zmieniłaby zdania, gdyby się dowiedziała, że służba wypada tylko co trzy dni i trwa najwyżej trzy godziny, ale nie chcę zdradzać tajemnicy, mogącej być powodem wojny domowej.

A wojny mamy chyba już dość. Po wojnie domowej są też układy pokojowe bardzo długie i nigdy nie obejdzie się bez odszkodowań pod postacią nowego kapelusza lub żakietu. A te zwłaszcza artykuły są obecnie nadzwyczaj drogie.

W zimie, jak wiadomo z botaniki, grzyby się nie pojawiają. Tak mówi teorya, ale praktyka powiada co innego, zwłaszcza, o ile to dotyczy powstawania nowych gabinetów polskich, które w samej rzeczy mnożą się niczem grzyby po deszczu.

W ostatniej kronice wspomniałem o nowym rządzie polskim wraz z gabinetem w Lublinie, w tej mam już do zanotowania powstanie nowego rządu, więc i gabinetu w Warszawie.

Rada regencyjna złożyła swe mandaty, oddając w ręce dyktatora wojskowego Piłsudskiego ster rządów, ten zaś polecił Ignacowi Daszyńskiemu złożenie nowego gabinetu.

W chwili, gdy to piszę, mamy dopiero premiera, nie znamy zaś nazwisk innych członków, którzy obejmą teki, ale nie należy wątpić, że i tym razem nie będzie to zespół, mający reprezentować cały naród polski, ale tylko pewną jego część.

Jak dotąd, tylko partya socyalistyczna i ludowcy uważają się za jedynie powołanych do zbawienia Ojczyzny, inne partye zaś albo śpią, albo, jak powiadają, organizują się, by pełną parą zabrać się do narodowej pracy. Ale to organizowanie się ogromnie przypomina wybieranie się starej panny na bal. Ciągle jej czegoś brakuje i nigdy nie może być gotową na czas.

A tu tymczasem niebezpieczeństwo z każdym dniem staje się coraz groźniejsze. Nie mamy rządu, nie mamy granic ani wojska, w kraju szerzy się anarchia, podsycana przez tych, którym na tem zależy, aby u nas nie było nigdy porządku.

A stronnictwa albo się między sobą kłócą, albo śpią.

Jeden ze znawców warszawskich stosunków wyliczył mi ni mniej, ni więcej, tylko dwadzieścia sześć stronnictw w samej Warszawie. Ale Warszawa to miasto europejskie na wielką skalę, może sobie więc na to pozwolić, choć i w Krakowie, który uważamy za prowincyonalną Pipidówkę, doliczylibyśmy ich bodaj do tuzina, nie uwzględniając tych, które dopiero mają powstać i mają już przyszłych prezesów, ale jeszcze nie mają członków.

I to wszystko dzieje się w chwili, gdy głośno mówimy o wolności, a robimy coś zupełnie przeciwnego, prawdopodobnie w tym celu, by się znów znaleźli obcy opiekunowie, którzy chcieliby się zająć uporządkowaniem u nas stosunków. Bo do tego, jeśli tak dalej pójdzie w tem tempie, przyjść musi. Nikt chyba nie będzie chciał mieć sąsiada, który nie może sobie dać rady na swych własnych śmieciach. Wyobrażam sobie, jak wesołe miny zrobiliby nasi wielcy politycy, gdyby tak koalicya poprosiła Niemcy, obecnie już mające rząd ludowy, aby zajęły się uregulowaniem stosunków w Polsce. A Niemcy, jak się zdaje, nie miałyby nic przeciw temu, zwłaszcza, że im się Polska bardzo podoba, czego już nieraz dawali nawet bardzo namacalne dowody.

Jeśli chcemy wyjść cało z tej opresyi, w jakiej się obecnie znajdujemy, a mam tu na myśli tak stosunki zewnętrzne, jak i wewnętrzne, jedne i drugie najzupełniej nieuregulowane, powinniśmy pamiętać o tem, że kto marzy o wolności, musi przedewszystkiem przestrzegać u siebie zasady równości, a to należy w ten sposób rozumieć, że nie tylko pewne, chwilowo uprzywilejowane stronnictwa mają w grę wchodzić, ale do wspólnej pracy ma być powołany cały ogół bez różnicy zapatrywań, bo tak robotnik, jak włościanin, mieszczanin i ten, który miał to nieszczęście, że urodził się szlachcicem, mogą jednakowo kochać swą ojczyznę i nie trzeba być koniecznie socyalnym demokratą lub ludowcem, by sobie życzyć jej zmartwychwstania. Trochę tylko dobrej woli i wyrozumiałości, a wszystko da się zrobić ku ogólnemu zadowoleniu.

Ale jeden warunek. *Conditio sine qua non*... Trzeba koniecznie ogólny cel mieć na pierwszym planie, a nie swój własny interes. Tymczasem zaś dzieje się zupełnie inaczej.

Opowiadano mi, iż po biurach różnych referentów w Warszawie aż się roi od zgłaszających swe służby nowemu rządowi, ale pod warunkiem, że otrzymają jakąś dobrze płatną posadę. O kwalifikacye mniejsza. Na to się nosi głowę na karku, by człowiek wiedział, co począć, gdy się znajdzie w trudnem położeniu.

Słyszałem, że jeden z takich chętnych do pracy prosił o posadę.

— Mnie tam — prawił do odnośnego referenta — zupełnie wszystko jedno, co mam robić. Czuję się na siłach i wiem, że sprostam zadaniu. Dałem tego już nieraz dowody!.. Ja nawet nie będę się starał zbyt wtrącać, by innym nie przeszkadzać... Ale grunt, aby była pensya i to wypłacana regularnie, bo to teraz ciężkie czasy!

— Na razie nie mogę panu nic obiecać — referent na to — gdyż co było do obsadzenia, już obsadzone... Wakuje wprawdzie posada dyrektora kolei, ale pan nie posiada do tego odpowiednich kwalifikacyi.

— Ja?... A mało to razy jeździłem koleją?... Mogę śmiało powiedzieć, że połowę życia spędziłem w wagonie!... Od czegóż zresztą podwładni urzędnicy?... A zaznaczyłem wyraźnie, że bynajmniej innym nie myślę przeszkadzać w ich pracy...

— Nadto muszę zwrócić pańską uwagę na okoliczność, że koleje nasze z powodu braku węgli mogą się znaleźć w bardzo przykrem położeniu... Grozi nam zastanowienie ruchu, gdy się zapasy wyczerpią.

— Tem lepiej!... Gdy staną, tem łatwiej mi przyjdzie pełnić obowiązki dyrektora ruchu!...

Czy ów pan otrzymał już tę posadę, czy ją dopiero otrzyma, tego nie wiem, ale to wiem, że i tutaj protekcya już się ogromnie rozpanoszyła, a ta nie uwzględnia żadnych kwalifikacyi. Zresztą tak czy owak, nie mając dość sił ukwalifikowanych, różne miejsca obsadzać się musi niekwalifikowanemi, zwłaszcza że nie reflektuje się bynajmniej na byłych urzędników austryackich z Galicyi. W ciągu niezbyt długiego urzędowania w czasie austryackiej okupacyi nie potrafili, czy może nie chcieli zjednać sobie zaufania miejscowej ludności i dlatego teraz puszcza się ich z kwitkiem. W wieku aeroplanów i łodzi podwodnych powiadają też o sobie, że znaleźli się w powietrzu lub poszli pod wodę.

A sami sobie winni, a raczej mają to zawdzięczyć tej szkole, z której wyszli.

Dużo możnaby o tem napisać, ale dziś brak na to i miejsca i czasu. Ważniejsze sprawy mamy przed sobą, zwłaszcza zaś tę, by raz już stanąć na własnych nogach i o własnych siłach, a na to jakoś się nie zanosi, bo żadne z naszych stronnictw nie myśli wcale o ustąpieniu z zajętego raz stanowiska, choćby nawet w duchu przyznawały sobie, że działa ze szkodą i krzywdą ogółu. Ale trzymają się konsekwentnie zasady, że kto powiedział „a", musi powiedzieć i „b", choćby to miało mieć dlań i najfatalniejsze następstwa.

Tego rodzaju postępowanie spotyka się na każdym kroku i w każdem stronnictwie. Jedne z nich mają zbyt szerokie horyzonty przed sobą, inne zaskorupiły się same w sobie, a żadne nie chce sobie pozwolić wytłumaczyć, że dziś jedynym celem każdego powinna być tylko samodzielna i prawdziwie zjednoczona Polska.

Do ojczyzny.

Nareszcie zniknęły fronty bojowe. Setki tysięcy żołnierzy pospieszyło do ojczyzny, aby nareszcie znaleźć się na łonie rodziny i odetchnąć po tylu trudach i znojach. Demobilizacya objęła już wszystkie formacye wojskowe i ze wszystkich stron Europy płyną rzesze zdemobilizowanych żołnierzy ku domowi. Koleje zamieniły się w wielkie obozowiska pełne zdemobilizowanych wojsk. Wagony kolejowe nie mogą pomieścić tych tysięcy, które radeby się znaleźć jaknajprędzej na zagonie ojczystym. To też żołnierze odbywają tę ostatnią wojenną podróż na dachach wozów uczepieni do nich, gdzie tylko kto może zdobyć kawałek miejsca. Nie obeszło się przy



Upadające trony: Henryk XXIII ks. Reuss z następcą tronu Henrykiem XLV.

tem i bez smutnych wypadków, pociągających za sobą nietylko kalectwo ale i śmierć. Jak z Tyrolu donoszą wielu żołnierzy zostało na dachach wozów zmiażdżonych w tunelach, przez które pociągi przejeżdżały. Zapewne są to ostatnie ofiary jakie pochłania moloch wojenny.

Podajemy illustracye przedstawiające taką podróż na dachach i oddział żołnierzy polskich utrzymujących porządek przy tym ostatnim odwrocie.



Ruiny i zgliszcza: Rozbity kościół w dolinie woneckiej (Fot. Bufa



Ruiny i zgliszcza: Zniszczone miasto francuskie. (Lip. b. pras.)

Z tygodnia.

Daszyński prezydentem ministrów.

Dzienniki ogłaszają:

Do obywatela Ignacego Daszyńskiego w Warszawie.

Mianuję Pana prezydentem ministrów Rządu Republiki Polskiej i polecam Panu przedłożenie mi listy członków Rządu.

Warszawa, 14 listopada 1918 r.

J. Piłsudski m. p.

Ignacy Daszyński m. p.

Odezwa Piłsudskiego.

Wyszedłszy z niemieckiej niewoli, zastałem wyzwalającą się Polskę w najbardziej chaotycznych stosunkach wewnętrznych i zewnętrznych, wobec zadań niezmiernie trudnych, w których lud polski sam musi wykazać swoją zdolność organizacyjną, bo żadna siła z zewnątrz nie może mu jej narzucić. Uważałem za swój obowiązek ułatwić ludowi pracę organizowania się i postanowiłem rozważyć rolę i znaczenie przewódców polskich stronnictw ludowych, które miały nadać charakter nowemu rządowi.

W rozmowach, prowadzonych z przedstawicielami niemal wszystkich stronnictw w Polsce, spotkałem się, ku wielkiej mej radości, z zasadniczem potwierdzeniem mych myśli. Przeważająca większość doradzała utworzenie rządu nietylko na podstawach demokratycznych, ale i z wybitnym udziałem przedstawicieli ludu wiejskiego i miejskiego. Licząc się z potężnymi prądami, zwyciężającymi dzisiaj na Zachodzie i Wschodzie Europy, zdecydowałem się zamianować prezydentem gabinetu pana posła Ignacego Daszyńskiego, którego długoletnia praca patryotyczna i społeczna daje mi gwarancyę, że zdoła w zgodnej współpracy z wszystkimi żywiołami przyczynić się do odbudowy dźwigającej się z gruzów Ojczyzny.

Ciężkie położenie ludu nie pozwoliło mu wyłonić z pośród siebie licznych sił fachowych, których kraj dzisiaj potrzebuje; zażądałem więc od pana prezydenta ministrów, aby, licząc się z tem, wzmocnił skuteczność pracy swego gabinetu przez udział w nim wybitnych sił fachowych, niezależnie od ich przekonań politycznych.

Z natury położenia Polski jest charakter rządu aż do czasu zwołania Sejmu ustawodawczego prowizorycznym i nie dozwala na przeprowadzenie głębokich zmian społecznych, które uchwalić może tylko Sejm ustawodawczy. Przekonany, że twórcą praw narodu może być tylko Sejm, żądałem zwołania go w możliwie krótkim kilkumiesięcznym terminie.

Licząc się z wyjątkowem pod względem prawnym położeniem narodu, wezwałem pana prezydenta ministrów, aby mi przedłożył projekt utworzenia najwyższej władzy reprezentacyjnej Republiki Polskiej aż do czasu zwołania Sejmu ustawodawczego, obejmującej wszystkie trzy zabory.

Liczne uwagi i programowe żądania stronnictw, złożone na moje ręce, przekazuję niniejszem Rządowi Republiki.

Warszawa, dnia 14 listopada 1918.

Piłsudski m. p.

Ustąpienie Rady regencyjnej.

W nadzwyczajnym dodatku „Kuryera Warszawskiego" ogłoszono:

Do naczelnego dowódcy wojsk polskich Józefa Piłsudskiego.

Stan przejściowy podziału zwierzchniej władzy państwowej, ustanowiony odezwą z dnia 11 listopada 1917 r., nie może trwać bez szkody dla powstającego państwa polskiego.

Władze te powinny być jednolite.

Wobec tego, kierując się dobrem Ojczyzny, postanawiamy Radę regencyjną rozwiązać, a od tej chwili obowiązki nasze i odpowiedzialność względem narodu polskiego w Twoje ręce, Panie Naczelny Dowódco, składamy do przekazania Rządowi narodowemu.

Warszawa, dnia 14 listopada 1918 r.

† Aleksander Kakowski. *Zdz. Lubomirski.*

Józef Ostrowski.

Wydawca i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie pod zarządem Pawła Hadasińskiego.